# TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

...DYSIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 132 NOBLE STR., CHICAGO ILL.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie........................................ $1.00.

Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii........ $1.50.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JE... ...IE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

...ered at the Post-Office at ... Illinois, as Second-Class Matter.

No. 3 Chicago, Ill., Czwartek, 20-go Stycznia, 1898 Rok XII.

# Książę Srebrny.

## POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

## HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

— Ja, książę, nie milczę — odpowiedział Morozow z godnością. — Nigdy nie taiłem swej myśli i dla tego teraz jestem w opale. Gdyby car mnie powołał do siebie, nie milczałbym, tylko mnie nie powoła. Naszych teraz nie ma przy nim. Patrz kim się otoczył! Jaki rad stary! Wszystko podłe zbiry, których nasi ojcowie i w chołopstwo [1]) by nie przyjęli! Weź którego chcesz: Basmanowie, ojciec i syn, nie wiadomo nawet który podlejszy; Maluta Skuratow, ni to rzeźnik, ni to zwierz, zawsze krwią obryzgany; Waśka Griaznoj, niczem dla niego najpodlejszy czyn; Borys Godunow, ten i ojca i matkę sprzeda i dzieci doda, byleby stanął wyżej; wsadzi ci nóż w gardło i jeszcze się ukłoni! Jeden tylko tam jest wysokiego rodu kniaź Alfanasij Wiaziemskij. Zniesławia podlec i siebie i nas wszystkich! Ale po co o nim i wspominać?!

Morozow machnął ręką. Inne myśli zajęły starca. Zadumał się i Srebrny, myślał o strasznej przemianie w carze i zapomniał chwilowo o stosunku, w jakim się przez dziwne zrządzenie znalazł do Morozowa.

Tymczasem słudzy nakryli do stołu.

Nie uważając na wymawiania się, Morozow zmusił swego gościa do próbowania rozmaitych zup, potraw i deserów. A gdy

1) Chołopi, był to najniższy rodzaj sług. (P. T.)

postawiono przed nimi różnego rodzaju napoje, Morozow nalał dla siebie i księcia puhary węgrzyna, wstał z za stołu, odrzucił z czoła swe długie włosy i powiedział podniósłszy puhar do góry:

— Za zdrowie wielkiego władcy naszego, cara Iwana Wasiliewicza!

— Oświeć go Panie, otwórz mu oczy! — dodał Srebrny, wysuszywszy czarę.

Helena nie pokazała się podczas obiadu, i nie była obecną przy rozmowie bojarów.

Wiele jeszcze opowiadał Morozow o sprawach państwa, o napadach Tatarów na ziemie Riazańskie, rozpytywał Srebrnego o litewskiej wojnie i srodze potępiał Kurbskiego za ucieczkę do króla.

Książę odpowiadał szczegółowo na wszystkie pytania i w końcu opowiedział o swem zajściu z opricznikami we wsi Miedwiediewce, o kłótni z nimi w Moskwie i o spotkaniu się z zagadkowym świętym, nie wspominając jednak nic o tajemniczych jego słowach.

Morozow słuchał o wszystkiem z wielką uwagą.

— Źle książę — powiedział, biorąc się za głowę — bardzo źle. Że oni napadli tę wieś, to się nie ma co dziwić, bo to wieś moja a ojcowiznę bojara, będącego w opale, każdemu wolno grabić. Co można wziąć — biorą, czego nie wezmą — palą; bydło na śmierć kłują — to ich zwyczaj. A Bożego człowieka znam. Nie ciebie dopiero przy pierwszem spotkaniu nazwał z imienia. Wasia jakby każdego na wskroś zna? Jego i car się boi. Ile razy on już w oczy ganił Iwana Wasiliewicza. Gdyby więcej takich świętych, to być może i opricznictwa by nie było. Ale powiedz, książę, kiedy chcesz oddać pokłon carowi?

— Jutro o świcie, jak wyjdzie z sypialni.

— Co mówisz, książę? Teraz już zmrok, a będziesz musiał przeszło sto wiorst jechać.

— Jakto, boż car nie w Kremlu?

— Nie, książę, nie w Kremlu, Rozgniewaliśmy Boga, rzucił nas car, wrócił się do Aleksandrowskiej Słobody, mieszka tam ze swymi zausznikami.

— Kiedy tak, to żegnaj bojarze, trzeba się spieszyć. Jeszcze nawet w domu nie byłem. Trochę się przebiorę; jutro o świcie jadę do Słobody.

— Nie jedź książę!

— Dla czego, bojarze?

— Wrócisz bez głowy Nikito Romanowiczu!

— Niech się dzieje wola Boska, bojarze, co będzie to będzie.

— Nikituszko, pozostań! Ja cię ukryję. Nikt cię nie wynajdzie, moi chłopi cię nie wydadzą, będziesz u mnie jak syn rodzony.

— Bojarze, wspomnij, coś mówił o Kurbskim, nie szlachetnie jest chować się przed swym carem.

— Nikito Romanyczu, kurbski zdrajca — przeszedł do wroga carskiego; a ja czyż jestem wrogiem carskim?

— Przebacz, bojarze, za nierozmyślne słowa; ale co ma się stać, niech się stanie!

— Gdybyś Nikituszko został u mnie, możeby i ostygł gniew carski możebyśmy z duchowieństwem zatarli jako twoją sprawę, a teraz trafisz jak smoła na węgle.

— Życie nasze bojarze, w ręku Bożem. Nie wypada starać się podstępem przeciągać je dłużej niż Bogu się podoba. Bóg zapłać za gościnę — dodał Srebrny wstając. Bóg zapłać za przyjaźń (przy tych słowach mimowolnie się zasępił); jechać muszę. Żegnaj Drużyno Andrejewiczu!

Morozow popatrzał na księcia ze smutnem współczuciem, ale zdawało się, że w sercu sam go pochwala i że nie postąpiłby inaczej, będąc na jego miejscu.

— Niech cię strzeże Opatrzność Boska, Nikito Romanyczu — rzekł, podnosząc się z ławki i ściskając księcia; oby Bóg zmiękczył serce carskie, abyś powrócił cało ze Słobody, jak ów młodzieniec z pieca gorejącego! — abym uściskał cię wtedy, jak ściskam teraz z całego serca i duszy! Przysłowie mówi: pieszego do drzwi, a jeźdzca do konia odprowadzają.

Książę i bojar rozstali się na progu sieni.

Przejeżdżając koło częstokołu, Srebrny ujrzał w ogrodzie coś białego. Serce mu zadrgało; zatrzymał konia.

Do częstokołu podeszła Helena.

— Książę — powiedziała przerywanym

głosem — słyszałam twoją rozmowę z Drużyną Andrejewiczem — o Boże!... książę... ty jedziesz na śmierć!

— Heleno Dymitryewno, widać taka wola boża, żebym przyjął śmierć z rąk cara. Nie dał mi Bóg szczęcia po powrocie do ojczyzny, nie dał mi ciebie Heleno! Niech się dzieje wola Jego!

— Książę! oni cię zamęczą! strach pomyśleć! Boże mój! czyż ci życie się sprzykrzyło?!

— Niech ono ginie! — rzekł z goryczą Srebrny i machnął ręką.

— Prześwięta Bogarodzico! kiedy siebie nie żałujesz, miej litość chociaż nad drugimi; wspomnij o mnie Nikito Romanowiczu, wspomnij, jakeś mnie kochał!

— Muszę jechać — powiedział stanowczo — nie powinienem się chować przed gniewem carskim, kiedy lepsi ludzie giną. Żegnaj Heleno! żegnaj droga! ukój łzy, Bóg litościwy może pozwoli nam się kiedy jeszcze zobaczyć.

Księżyc zaszedł za obłoki; wiatr poruszył wierzchołkami lip, Helena i książę zostali obsypani ich woniejącem kwieciem. Poruszyły się stare gałęzie, jakby chciały powiedzieć: po co mamy kwitnąć, po co się zielenić? Przepada daremnie dobry młodzieniec, przepada jego oblubienica!

Obejrzawszy się raz jeszcze na Helenę, Srebrny dostrzegł za nią w głębi ogrodu cień człowieka. Czy to się księciu zdawało? czy też sługa jaki chodził po ogrodzie? a może był to sam bojar Drużyna Andrejewicz?

---

## VIII.
## Aleksandrowska Słoboda.

Droga od Moskwy do Troickiej Ławry, a od Ławry po Aleksandrowskiej Słobody, była nadzwyczaj ożywioną. Bez przerwy jeździli po niej carscy posłannicy. Tłumy ludzi dążyły na pielgrzymki do miejsc świętych; pułki opryczników pędziły tam i nazad, sokolnicy wyjeżdżali ze Słobody do wsi sąsiednich po żywe gołębie; kupcy wlekli się z towarami siedząc na wozach lub konno przodując dużemu obozowi. Tłumami także włóczyli się gęślarze, hecarze z gęślami i bałabajkami [1]. Odziani byli w pstre suknie, prowadzili za sobą oswojone niedźwiedzie i śpiewali albo wyciągali ręce do przejezdnych.

— Zlitujcie się panowie — mówili na różne głosy, wam Bóg dał bogactwa a nam kazał się żywić z waszej jałmużny, nie porzućcie nas nędznych, panowie!

Często hecarze bili się z oberwanymi żebrakami; którzy spieszyli do Słobody z miast i klasztorów, pożywić się carską jałmużną.

Wszystko to krzyczało, śpiewało, wymyślało sobie, konie, ludzie niedźwiedzie — rżeli, darli się, wyli. Droga prowadziła przez gęsty las. Nie zważając na ożywienie, jakie tam panowało, zdarzało się nieraz, że uzbrojeni rozbójnicy napadali na kupców i ograbiali ich do naga.

Rozboje w okolicach Moskwy najwięcej się rozpowszechniły od czasu, jak opryczniey wygnali całe wsie, rolni ludzie ci łączyli się z szajkami rozbójników, i nie na żarty zrobili się niebezpiecznymi. Opryczniey złapawszy rozbójnika wieszali go bez miłosierdzia; podobnież i rozbójnicy i całe osady mieszczan. Wreszcie nietylko zbóje napadali na drogach. Hecarze i żebracy spotkawszy wieczorem źle strzeżony obóz, często wybawiali rozbójników z kłopotu.

Dla kupców było najgorzej. Ich ograbiali i rozbójnicy i hecarze i żebracy i pijani opryczniey. Ale i kupcy musieli widać dobrze ich okpiwać, bo zawsze wracali z dużym dochodem.

W Troickiej Ławrze Srebrny się wyspowiadał i przyjął komunię. Archymandryta [2]) żegnając się z Nikitą Romanowiczem błogosławił go, jak idącego na niechybną śmierć. Na trzy wiorsty od Słobody stała na rogatce straż wojenna, pytając każdego: kto on i po co jedzie do *niewoli?* Tem przezwiskiem naród na kpiny zamienił wyraz *słoboda*, który dawniej znaczył: wolność. Srebrny i drużyna jego podobnież byli pytani o celu swego przybycia. Potem

---

1) Ruski instrument podobny do kobzy. (P. T.)

2) Wysoki stopień w hierarchii kościoła prawosławnego. (P. T.)

dozórca rogatki odebrał od nich broń, czterech opryczników siadło na koń, by przeprowadzić przejezdnych. Wkrótce ujrzeli czerwono malowane kopuły i złocone dachy carskiego dworca.

Wjechawszy do Słobody Srebrny ujrzał że dworzec czyli klasztor carski jest oddzielony od reszty domostw głębokim rowem i wałem. Trudno opisać przepych i dziwactwo owego dworca. Ani jedno okno nie było podobne do drugiego, ani jeden słup podobnież pomalowany jak drugi. Wielkiemi masami kopuły wznosiły się piętrząc nad budynkiem.

Czarujący ten widok rozpędził na chwilę czarne myśli Srebrnego, które mu towarzyszyły przez całą drogę. Lecz wkrótce nowy widok przypomniał księciu o smutnej rzeczywistości. Przejechali około kilku szubienic w niedalekiej odległości jedna od drugiej, pomiędzy szubienicami znajdowały się pnie, na pomostach płachty i przyszykowane topory. Pnie, szubienice, pomosty, pomalowane na czarno, były zbudowane nadzwyczaj silnie: nie na dzień, nie na rok, ale na lat wiele.

Człowiek, żeby tam najwięcej nieustraszony, wzdrygnął się na myśl, że go czeka bliska śmierć nie wśród szczęku mieczy, ale śmierć haniebna z rąk podłego kata.

Widać, że i na księciu widok szubienicy musiał wywrzeć jakieś dziwne wrażenie, kiedy aż przewodnicy, spojrzawszy na niego, uśmiechnęli się.

— To nasze huśtawki, bojarze — rzekł jeden z nich wskazując ręką na szubienicę — widać że ci się musiały bardzo podobać, kiedy z nich oka nie zdejmujesz...

Micheicz jadący z tyłu pogwizdnął i pokręcił głową.

Jeden z opryczników zwrócił szczególniejszą uwagę księcia. Był to młodzieniec najwyżej mogący mieć lat dwadzieścia, niezwykłej piękności, ale z jakimś nieprzyjemnym, zuchwałym wyrazem twarzy.

Ujrzawszy Srebrnego i Micheicza, zmierzył ich dumnie od stóp do głów, przywołał jednego z tych, którzy ich przeprowadzali i musiał się widać dowiedzieć o nazwisku przybyszów, spojrzał bowiem przymrużonem okiem i uśmiechnąwszy się szepnął coś do swoich towarzyszy. Ci się także uśmiechnęli i rozeszli się w różne strony. Sam zaś młody opricznik wszedł na ganek i wsparłszy się na łokciach patrzał wciąż z uśmiechem na Nikitę Romanowicza. Wtem między żebrakami zrobił się popłoch. Całą masą rzucili się w stronę księcia i o mało go nie zagnietli. Z krzykiem uciekali z podwórza; przerażenie malowało się na ich twarzy. Ogromny niedźwiedź w skokach pędził żebraków. W jednej chwili na podwórzu zrobiło się pusto i książę oko w oko został z ogromnym zwierzem. Książę nieraz sam jeden chodził na niedźwiedzia. Takie polowanie było dla niego zabawką. Zatrzymał się, i w tej chwili gdy niedźwiedź, stuliwszy uszy, szedł prosto na niego! złapał się za bok chcąc wyjąć szablę. Szabli nie było! zapomniał, że oddał ją opricznikom przy wjeździe do *niewoli*.

Młody opricznik patrząc z ganku roześmiał się. — Tak, tak — powiedział — szukaj swej szabli!

Od jednego uderzenia łapy niedźwiedziej Srebrny upadł na ziemię, drugie niezawodnie zerwałoby mu czaszkę z głowy, lecz, ku niemałemu swemu zdziwieniu książę uczuł, że został oblany strugą ciepłej krwi.

— Wstawaj bojarze — powiedział głos jakiś podając mu rękę.

Książę wstał i ujrzał przed sobą młodego opricznika lat siedemnastu, którego przedtem był nie zauważył. Opricznik stał z zakrwawioną szablą w ręku. Niedźwiedź z rozpłatanym czerepem leżał na grzbiecie, i machając łapami zdychał u nóg jego.

Opricznik zdawał się nie być dumnym ze swego zwycięstwa. Na delikatnej jego twarzy malował się wyraz głębokiego smutku.

— Wybawco! — powiedział Srebrny — nazwij mi twe imię, nazwisko, żebym wiedział za kogo mam się modlić.

— Co ci, bojarze, z mego imienia; nie lubię go — Bóg z nim!

Odpowiedź taka niemało zadziwiła księcia, ale młodzieńca już nie było.

— No, batiuszko Nikito Romanowiczu — rzekł Micheicz obcierając połą kaftana krew niedźwiedzia z twarzy księcia — miałem ja też strachu! — krzyczałem, batiuszka, na niedźwiedzia — hu! hu! żeby się na mnie

rzucił, gdy ten młodzieniec, Boże daj mu zdrowie, łeb mu rozciął. A wszystkiego narobił ten gołobrody z maślanemi oczami, co z ganku patrzy, kura go rodziła! Ale gdzież to widzieć czy słychana rzecz, żeby na carskiem podwórzu niedźwiedzie z łańcuchów spuszczano!

Uwagi Micheicza były słusznemi, ale Słoboda miała swoje odrębne obyczaje.

Car lubił walkę zwierząt. Kilka niedźwiedzi zawsze trzymano w klatkach żelaznych. Ale czasami car i opryczniey wypuszczali zwierzęta prosto na naród; była to jedna z najulubieńszych dworskich zabawek.

Wkrótce z dworca wyszli dwaj podstoli mówiąc, że car widział z okna Srebrnego i pyta go, co on za jeden! Powiedziawszy carowi imię księcia, podstoli znów się wrócili i w te słowa odezwali się do Nikity Romanowicza: "Car cię pyta o zdrowie i kazał ci być dzisiaj u swego carskiego stołu."

Taka łaska nie bardzo ucieszyła Srebrnego. Bądź co bądź, Srebrny przygotował się na wszystko, i w myśli odmówił modlitwę.

---

## VIII.
## Uczta.

Szumnie weszła do sali błyszcząca świta carska i usiadła koło stołów, na których nic jeszcze nie było prócz serwisów z solniczkami i małemi naczyniami do octu i pieprzu; a z jadła stały tylko półmiski zimnego mięsa, kwaszone ogórki, śmietana i zsiadłe mleko w drewnianych salaterkach. Opryczniey niczego nie kosztowali, czekając na cara.

Wkrótce weszli parami podstoli i stanęli przy carskim fotelu. Za podstolimi szli szambelan i krajczy.

W końcu zagrzmiały trąby, odezwały się dworskie dzwony i wolnym krokiem wszedł sam car Iwan Wasiliewicz.

Gdy Jan wszedł do sali, wszyscy wstali i nisko mu się pokłonili. Car wolno przeszedł między rzędami stołów na swoje miejsce. Zatrzymał się i rzuciwszy wzrokiem po całem zebraniu, skłonił się na wszystkie cztery strony, potem przeczytał na głos długą modlitwę, przeżegnał się, pobłogosławił jedzenie i siadł we fotelu.

Srebrnemu wypadło siedzieć niedaleko od carskiego stołu razem z ziemskimi bojarami, to jest takimi, którzy nie należeli do opryczniestwa, ale dla swej wysokiej godności, byli zaproszeni na dzisiejszą ucztę. Nie jednego z nich Srebrny znał przed odjazdem na Litwę. Książę mógł widzieć ze swego miejsca samego cara i wszystkich, którzy się znajdowali przy jego stole. Smutno się zrobiło Srebrnemu, gdy zaczął porównywać Jana, którego zostawił pięć lat temu, z Janem siedzącym teraz w kółku nowych ulubieńców. Nikita Romanowicz zwrócił się z pytaniem do jednego z sąsiadów, którego znał dawniej:

— Kto jest ten młodzieniec siedzący po prawej ręce cara, taki blady i zachmurzony?

— To carewicz Jan Iwanowicz — odpowiedział bojar i obejrzawszy się do koła dodał pocichu: Zlituj się Boże nad nami! Nie wdał się w dziada ale w swego rodzica; serce jego przepełnione okrucieństwem, nie będziemy mieli pociechy z jego panowania!

— A ten młody czarnooki, w końcu stołu, z taką przyjemną twarzą? Rysy jego są mi znajome, ale nie przypominam sobie, gdziem go widział.

— Widziałeś go książę pięć lat temu, jak był tylko łucznikiem przy dworze carskim, ale wysoko poszedł od tego czasu i wyżej jeszcze pójdzie. To Borys i Fedorowicz Godunow, największy ulubieniec i doradca carski. Widzisz, mówił dalej bojar, zniżając głos, widzisz około niego tego barczystego ryżego, który na nikogo nie patrzy, to Grygorij Łukjanowicz Skuratow Bielskij, przezwiskiem Maluta. To i przyjaciel i zausznik i kat carski. Tu w klasztorze ma stopień, przebacz Boże, peraklisjarcha. Zdaje się, że car bez niego ani kroku, ale niech no tylko powie słówko Borys Fedorowicz, to się stanie nie tak jak chce Maluta, ale jak chce on Borys. A tam oto ten młodzieniec, ładny jak panienka, który carowi wina nalewa, to Fedor Aleksiewicz Basmanow.

— To ten? — rzekł ze zdumieniem Srebrny, poznając podobnego do dziewczę-

cia młodzieńca, którego powierzchowność zwróciła jego uwagę na carskim podwórzu, a podły żart którego o mało nie przypłacił życiem.

— Tak, ten sam. Jak car go lubi! Zdaje się, że żyć bez niego nie może. A niech no się coś takiego stanie, do kogo idą na naradę? — do Borysa.

— Tak — powiedział Srebrny, wpatrując się w Godunowa — teraz sobie przypominam tego dawnego łucznika.

— I co to za człowiek! — ciągnął dalej bojar, patrząc na Godunowa — nigdy się nie ciśnie naprzód, a zawsze tam jest; nigdy nie mówi otwarcie, nie sprzeciwia się carowi, nigdy prostą drogą nie idzie, do żadnego okrucieństwa nie jest zamięszany, nigdy o żadnej torturze nic nie wie. Naokoło niego tryska krew, a on sobie czysty i niewinny jak baranek; nawet do opryczni ków nie jest wpisany.

— A ten oto — mówił dalej bojar, wskazując na mężczyznę z sarkastycznym uśmiechem na ustach, — jest to Aleksiej Basmanow, ojciec Fedora, a tam opodal Wasilij Griaznoj, a tam znów, ojciec Lewkij, czudowski archymandryta; przebacz mu Boże! nie pasterz to kościelny, ale pasibrzuch czysty!

Srebrny słuchał z ciekawością i smutkiem.

— Powiedz mi, bojarze, spytał, kto jest ten wysoki, kędzierzawy, mogący mieć ze trzydzieści lat, z czarnemi oczami? Już czwarty puhar osuszy jeden za drugim; i jakie puhary! Może pić, nie ma co mówić — ale wino widać go nie cieszy. Patrzaj, jak brwi zmarszczył, jakie błyskawice miota oczami. Ale cóż to? zwaryował? Patrzaj, jak serwetę kraje nożem!

— Tego to chyba, książę, powinienbyś znać, to był z naszych. Prawda, zmienił się od tego czasu, jak na naszą hańbę wstąpił do opryczników. To kniaź Afanasij Iwanowicz Wiaziemskij. On z nich wszystkich najodważniejszy, ale nie może z sobą dać rady. Jak się do serca jego wcisnęła miłość, zrobił się nie swój. I nic nie widzi i nic nie słyszy i sam do siebie rozmawia jak pomięszany i nieraz przy carze mówi takie rzeczy, aż strach! Ale i sam car go żałuje. Mówią, że z miłości i do opryczników się wpisał.

Bojar schylił się do ucha Srebrnego, chciał widać coś więcej powiedzieć mu o Wiaziemskim, ale w tej chwili podszedł do nich kamerdyner i powiedział stawiając przed Srebrnym półmisek z pieczystem:

— Nikita! Wielki car częstuje cię łabędziem ze swego stołu.

Wtedy wszyscy, którzy siedzieli przy jednym stole z księciem, wstali i pokłonili mu się, winszując łaski carskiej; Srebrny każdemu z osobna musiał się odkłonić na znak podziękowania.

Kamerdyner zaś powrócił do cara i pokłonił mu się do pasa, mówiąc:

— Wielki carze. Nikita bije czołem.

Naprzeciwko Srebrnego siedział pewien stary bojar, na którego, jak mówiono, car był zagniewany. Bojar spodziewał się kary, ale nie wiedział jakiej i spokojnie oczekiwał swego losu. Ku niemałemu zdziwieniu wszystkich, krajczy Fedor Rasmanow własną ręką przyniósł mu puhar.

— Wasilku! — powiedział Basmanow — wielki car częstuje cię winem.

Wszyscy wstali i skłonili się starcowi, czekając na jego podziękowanie, ale bojar stał nieruchomie. Dech mu zamarł, drżał na całem ciele. W jednej chwili oczy jego się krwią zalały, twarz zsiniała i starzec padł na ziemię.

— Bojar pijany! ha! ha! precz z nim! wyrzucić! wrzasnął car Iwan Wasiliewicz.

Głuchy szmer przebiegł po całem zebraniu, a ziemscy bojarzy spojrzeli po sobie i utkwili oczy w talerzach nie śmiąc ani słówka wymówić.

Srebrny zadrżał. Niedawno jeszcze nie wierzył opowiadaniom o okrucieństwach Jana, a teraz sam był świadkiem jego strasznej zemsty.

— Czyż i mnie czeka los podobny? pomyślał.

Rozmawiano coraz głośniej, śmiech słychać było częściej, w głowach zaczęło się kręcić. Srebrny wpatrując się w twarze biesiadników, dostrzegł siedzącego w końcu stołu młodego opricznika, który niedawno wybawił go z uścisku niedźwiedzia. Książę chciał się dowiedzieć czego o nim od któ-

rego z sąsiadów, ale żaden bojar go nie znał. Młodzieniec, oparłszy się łokciami o stół, siedział w zadumie i zdawało się nie zważał na ogólną wesołość. Książę chciał się zwrócić z zapytaniem do przechodzącego sługi, ale nagle posłyszał za sobą:

— Nikito, wielki car częstuje cię winem!

Dreszcz przebiegł po całem ciele Srebrnego. Za nim stał, ze złowrogiem uśmiechem podając mu puhar, Fedor Basmanow. Nie wahając się ani na chwilę, książę wysuszył puhar do dna. Wszyscy patrzeli na niego z trwożliwą ciekawością; sam Srebrny czekał niechybnej śmierci i zdziwił się, że nie czuje działania trucizny. Zamiast dreszczów i chłodu, poczuł książę, że go napój rozgrzewa. Mimowolna bladość znikła z jego twarzy. Napój przysłany przez cara był to stary węgrzyn. Teraz się przekonał Srebrny, że car albo mu darował winę, albo nic nie wie jeszcze o zajściu z opryczmikami.

Car prawie zupełnie nie jadł. Podczas obiadu wiele rozprawiał, żartował i śmiał się ze swymi ulubieńcami. Twarz jego się nie zmieniła pod koniec uczty. Toż samo można było powiedzieć i o Godunowie. Borys Fedorowicz zdawał się nie wzdrygać, by wypić wina lub pokosztować dobrej potrawy; był wesół, zajmował cara i oblubieńców jego mądrą rozmową, ale ani razu nie wyszedł z granic przyzwoitości. Rysy Borysa wyrażały połączenie przenikliwości, pewności samego siebie, z obmyśloną uległością. Gdy rzucił bystrem okiem na pijanych i śpiących dworaków, wyraz pogardy przemknął się po jego twarzy.

Carewicz Jan pił dużo, jadł mało, milczał, słuchał i nagle przerywał mówiącemu nieskromnym lub obrażającym go żartem. Najwięcej dostało się od niego Malucie, chociaż Grygorij Łukjanowicz nie wyglądał na lubiącego znosić żarty. Powierzchowność jego wzbudzała przestrach nawet w najmniej bojaźliwych. Czoło miał niskie przypłaszczone, włosy zaczynały się od samych prawie brwi i czerep z przodu wązki przechodził bez żadnej proporcyi w jakiś szeroki kocioł z tyłu, a za uszami były takie wklęsłości, że te zdawało się wpadały w jakąś jamę. Oczy bez stałego koloru, na nikogo nie patrzały prosto, ale strasznie robiło się temu, kto nie chcący spotkał ich przyćmione wejrzenie. Zdawało się, że żadne szlachetne uczucie nie mogło przeniknąć do tego wązkiego mózgu, pokrytego grubym czerepem i gęstą szczeciną. W wyrazie tej twarzy było coś nieubłaganego. Patrząc na Malutę, zdawało się, że napróżno szukałbyś w nim czegoś człowieczego. I rzeczywiście, odsunął się od wszystkich ludzi, zrzekł się wszelkiej przyjaźni, wszelkich przyjacielskich stosunków; przestał być człowiekiem, i zrobił z siebie psa carskiego, gotowego bez namysłu rozszarpać każdego, kogo tylko Jan nim poszczuje.

Jedyną, jasną stroną Maluty, była szalona miłość do swego syna, młodego Maksyma Skuratowa; ale to była miłość dzikiego zwierzęcia, miłość, z której on sam sprawy nie mógł zdać sobie; choć miłość ta dochodziła do szalonych granic, podsycała ją chęć Maluty wywyższenia swego imienia. Sam pochodząc z nizkiego rodu, dręczył się widokiem bojarów, i chciał chociaż od syna podnieść swe potomstwo.

Myśl, że Maksym, którego kochał tem więcej, że nie znał innego macierzyńskiego uczucia, będzie zawsze niższym w oczach narodu od dumnych bojarów, których on Maluta, katował, popychała go do wściekłości. Starał się przez złoto osięgnąć zaszczyty, które były niedostępnemi dla jego nizkiego rodu, i z dziką rozkoszą oddawał się zabójstwem, mścił się nad bojarami, których rodu nienawidził, wzbogacał się ich łupem, i wywyższając się w łasce carskiej, myślał wywyższyć własnego syna. Pomimo takich nadziei, krew była jego zabawą i uciechą. Nieraz nawet, jak powiadają mamki, rozrąbywał toporem martwe już ciała straconych i rzucał je psom na pożarcie! Dla dokończenia opisu tego zwierza, trzeba dodać, że pomimo swego umysłowego ograniczenia, był w wyższym stopniu chytrym i podstępnym; w bitwie odznaczał się wściekłą odwagą, a w mściwości przewyższał wszystkich Maluta Grygorij Łukjanowicz Skutarow Bielskij.

Takim był ten, z którego tak nieostrożnie kpił carewicz.

Szczególne zdarzenie dało powód do

kpin synowi cara Iwana. Maluta, dręczony zazdrością i żądzą honorów, oddawna już się dopominał bojarskiej czapki, [1]) ale Jan, szanując czasami dawne obyczaje, nie chciał zbezcześcić tego stanu, i nic sobie nie robił z prośby Maluty. Skuratow postanowił znowu wspomnieć o sobie carowi. Tego samego dnia, gdy car wychodził z sypialni, bił przed nim czołem, wyliczył wszystkie swoje zasługi, i jako nagrodę prosił o bojarską czapkę. Iwan wysłuchał go cierpliwie, w końcu rozśmiał się i nazwał psem O tem przypominał Jan Iwanowicz Malucie przy stolę, Nie przypominałby mu tego carewicz, gdyby głębiej znał Grygorja Łukjanycza!

Maluta milczał i stawał się coraz bledszym. Car z niezadowoleniem zauważył nieprzyjazne stosunki między Malutą i synem. Żeby przerwać im rozmowę, zwrócił się się do Wiaziemskiego:

— Afonia [2]) — powiedział z uśmiechem — długo będziesz się jeszcze martwił? nie mogę poznać swego dobrego opricznika. Czyż ci ta miłość już do reszty w głowie przewróciła?

— Wiaziemskij nie opricznik — wtrącił carewicz — wzdycha jak dziewczyna. Kazałbyś, batiuszka-carze, ubrać go w suknie, ogolić brodę jak Fedce Basmanowowi, albo lepiej kazałbyś mu śpiewać razem z gęślarzami. Z gęślami będzie mu zręczniej niż z szablą.

— Carewiczu — krzyknął Wiaziemskij — gdybyś miał tak z pięć latek więcej, i gdybyś nie był carskim synkiem, za ubliżenie wyzwałbym cię do Moskwy na plac Troicki, zmierzylibyśmy się razem i sam Bóg by rozsądził komu szabla, komu gęśle!

— Afońka! — powiedział ostro car — nie zapominaj, przed kim mówisz!

— Cóż batiuszka-car Iwan Wasiliewicz — odpowiedział hardo Wiaziemskij — jeślim zawinił przed tobą, każ mi głowę odrąbać, a carewiczowi nie dam sobie ubliżać!

— Nie, nie — powiedział łagodnie Iwan Wasiliewicz, który za zuchwałość przebaczał zawsze Wiaziemskiemu — jeszcze czas Afonio ściąć główkę. Niech jeszcze posłuży carowi. Ja tobie, Afoniu, lepiej powiem bajkę, którą opowiadał mi przeszłej nocy ślepy Filka.

“W sławnym Rostowie, w pięknem mieście, mieszkał dzielny młodzian Alosza Popowicz. Pokochał on nad życie młodą księżniczkę, nazwiska nie pamiętam. Ale księżniczka ta była za mężem, za starym Pugarynem Zmijewiczem i mimo wszelkich zachodów Alosza Popowicz nic nie wskórał. — Nie kocham cię dobry chłopcze; kocham jednego męża mojego miłego, starego, Zmijewicza. — Dobrze — powiedział Alosza — pokochasz że ty i mnie biała gąsko! — Wziął swe dobre sługi, napadł na zamek Zmijewicza i porwał jego młodą żonę. — Bóg ci zapłać dobry chłopcze — powiedziała księżniczka — żeś umiał mnie kochać i mieczem zdobyć; za to kocham cię nad życie, nad starego męża mego Zmijewicza!”

— A co Afonio, dodał car patrząc na Wiaziemskiego, jak ci się podoba bajka ślepego Filki?

Chciwie porywał Wiaziemskij słowa Iwana Wasiliewicza. Wpadły mu one do serca jak iskry do snopów w stodole, rozbudziła się namiętność w duszy jego, oczy zaiskrzyły.

— Afanasij — mówił dalej car — w tych dniach jadę modlić się do Suzdalu, a ty idź do bojara Drużyny Andrejewicza, do Moskwy, spytaj o zdrowie i powiedz, że ja przysłałem ciebie zdjąć z niego “opałę” — ale — dodał znacząco — weź z sobą dużo opryczników!

Srebrny dostrzegł ze swego miejsca, jak się zmieniła twarz Wiaziemskiego i jak dzika radość przebiegła po jego rysach, ale nie słyszał o czem rozmawiali ze sobą książę i Iwan Wasiliewicz. Gdyby się domyślił Nikita Romanowicz, z czego się cieszy Wiaziemskij, zapomniałby o obecności cara, porwałby ze ściany ostrą szablę i rozciął głowę Wiaziemskiemu ale wyratowały go na ten raz gęśle dźwięczne, dzwony dworskie i hałas opryczników. Nie wiedział Nikita z czego się cieszy Wiaziemskij.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

1) Stanu bojarskiego; bojarzy nosili oddzielne czapki, właściwe tylko ich stanowi. (P. T.)

2) Zdrobniałe Afanasij.

# MŁYNARZ I JEGO DZIECKO,

— CZYLI —

## WĘDRÓWKA DUCHÓW W NOCY BOŻEGO NARODZENIA.

### POWIEŚĆ, OSNUTA NA TLE PRAWDZIWEGO ZDARZENIA.

(Ciąg dalszy.)

We dwa dni później otrzymał Wiesław robotę u właściciela kilku młynów w Galicyi. Uprzejmy chlebodawca zaprosił go natychmiast na wieczerzę do izby; a postawiwszy przed nim pełny kubek dobrego wina wydalił się na chwilkę. Mieszkanie gospodarza zdradzało na każdym miejscu największą zamożność. Przepyszne obrazy w złoconych ramach, czysto umyta podłoga i stoły, ogromny czyściutki porcelanowy piec kaflowy — wszystko to mówiło Wiesławowi, iż tutaj oprócz bogactwa musi jeszcze rządzić zapobiegliwa ręka niewiasty. Pijąc ze smakiem starego węgrzyna rzucił Wiesław przypadkiem okiem na obraz, wiszący na ścianie, który przedstawiał wniebowstąpienie Boga-Rodzicy. Łagodne rysy twarzy Bożej Rodzicielki — rzecz dziwna! — tak były podobane do oblicza Halki, jak gdyby ona służyła malarzowi za model. Długo wpatrywał się Wiesław oczarowany w święty obraz, aż wreszcie do izby wszedł młynarz z czeladnikami, którym zaraz nowego robotnika przedstawił. Po wzajemnem przywitaniu się usiedli wszyscy do stołu — wieczerzę zastawiła ładna modrooka dziewczyna i usiadła potem przy majstrze, który zwróciwszy się znowu do Wiesława powiedział! "To moja córka, a zarazem skrzętna gospodyni, która we wszystkiem ład tutaj utrzymuje." Dziewczyna zarumieniła się nieco i podając Wiesławowi rękę rzekła: "Witam pana; sądze, że będziemy żyć w zgodzie — teraz atoli proszę się wziąć do jadła, bo ono po podróży nie zaszkodzi."

Po spożytej wieczerzy odmówili wszyscy według odwiecznego zwyczaju wieczorne modlitwy; a potem udał się Wiesław z innymi na spoczynek.

W pracy okazywał on później taką gorliwość i znajomość rzeczy, iż wszyscy młynarczycy do siebie szeptali: Z tego człowieka prawdziwy Herkules — gdyby nasz majster nie miał tyle do mielenia, pewnieby nas wszystkich jeszcze dzisiaj odprawił, a tylko jego jednego zatrzymał. Mimo to polubili go wszyscy koledzy tak samo jak i sam młynarz i jego córka. Mijały tedy tygodnie i miesiące, a w stosunkach Wiesława nie było żadnej zmiany. Aż pewnego rana otrzymuje on od matki list, w którym mu donosi, że Halka mocno zachorowała i zaleca, aby się modlił za nią. Zalany łzami wyszedł Wiesław ukoić boleść na dwór, gdzie przyświecało ciepłe słonko. Gdy tutaj stał w zadumie, poklepał go po ramieniu młynarz i rzekł: "Przyjacielu Wiesławie! pragnę od dawna z tobą pomówić. Muszę ci otwarcie wyznać, że ci wdzięczność winienem za pilność i oględność, z jaką mym młynem zarządzasz. Zaprawdę! jesteś godny lepszego stanowiska, ponieważ masz zupełne prawo zostania majstrem. Otóż ja jestem starym człowiekiem, a mógłeś łatwo zauważyć, że za młodu wcale nie próżnowałem. Gdybym zaś umarł, ujrzałaby się osamotnioną moja jedynaczka i pociecha mej starości. Zapewnie pojmujesz, co przez to chciałbym powiedzieć — sprawię się tedy krótko: weź sobie za żonę mą córkę Hannę; gdy potem umrę, wszystko, co posiadam, stanie się waszą własnością."

Propozycya ta była dla Wiesława tak niespodziewaną, iż się mu zdawało, jakby go był z jasnego nieba piorun poraził. Młynarz spostrzegł jego zakłopotanie i mówił

dalej: "Wiem, że potrzebujesz namysłu w tej sprawie i radbyś pierwej dowiedzieć się, co moja córka na to powie. Otóż mogę ci powiedzieć, że ci Anusia bardzo sprzyja. Jej ulubioną myślą jest: uczciwy pracowity Wiesław! A więc daj rękę na znak, że przyjmujesz moję propozycyą!"

Ponieważ atoli Halka jeszcze żyła, sumienny Wiesław byłby poczytywał sobie za grzech, myśleć o innej niewieście. Dla tego też odrzekł: "Zostaw mi majstrze czas do namysłu. Jesteś zacnym człowiekiem, toć i zrozumiesz znaczenie przysłowia: "Nikt nie wie, co drugiego boli!" Pierwej musi natura rozwiązać węzły, które mnie dotąd krępują. Potem mógłbym pomyśleć o zawiązaniu innych." — Młynarz naturalnie nie mógł zrozumieć znaczenia tych wyrazów, wpatrzył się tedy z zadziwieniem na naczelnika i poszedł swą drogą w milczeniu. Nigdy też już nie mówił o tym przedmiocie. Toż i miła Hanna starała się ukryć swe łzy, ilekroć się z Wiesławem zeszła.

Stan zdrowia Halki z każdym dniem się pogorszał: poddała się ona losowi od dawna i tylko oprócz Boga i nieba tęskniła jeszcze za Wiesławem. Zdawało się jej ciągle, iż mu przy rozstaniu się nie tak z serca przebaczyła, jakby należało było, i że się nań gniewała, gdy odszedł. Zwierzyła się z tym przed proboszczem, który jej obiecał do niego napisać, utrzymując, iż ją łatwo odwiedzić może. gdyż jest tylko o dwa dni drogi oddalony. Na tę wiadomość odetchnęła lżej Halka; a proboszcz napisał natychmiast list do Wiesława i wysłał go na pocztę. Kilka dni później, a był to piękny dzień lipcowy — kazała się chora Halka ciotce i matce Wiesławowej, która często teraz ich dom odwiedzała, poprowadzić do okna, wychodzącego na ogród, urodzajne łany i dalekie wzgórza karpackie. Na ten widok poczęła podziwiać i uwielbiać w zachwyceniu wszechmoc Boga; a to ją tak wzruszyło, iż znowu osłabiona na krzesło padła i długo milczała. Naraz zwróciła się Halka do obu niewiast i zawołała: "Ach! gdybym to jeszcze choć raz mogła usłyszeć głos Wiesławowej fletni i pokrzepić się piękną pieśnią: "Kto się w opiekę podda Panu swemu!" natenczas chętnie zamknęłabym oczy i umarła z poddaniem się woli Bożej."

Jeszcze tych słów nie domówiła, gdy się pod oknem ozwała fletnia Wiesława — i tak cudownie porywająco brzmiała wspaniała jej melodya, jak jeszcze nigdy przedtem. W największem uradowaniu zawołała Halka z uśmiechem: "Ach, Boże! to fletnia Wiesława, albo niebiańska muzyka, która mnie ma witać, gdy się wybieram na drugi świat." Po tych słowach opadła znowu ze wzruszenia na krzesło. Doświadczony proboszcz zamyślał przez takie niespodziewane wzruszenie sprowadzić przesilenie choroby i ocalić Halkę może w ten sposób od zagrażającej jej śmierci. Wyszedł też z izby natychmiast; a nakazawszy zupełne milczenie obu niewiastom wszedł do jaśminowej altany pod oknem i ująwszy Wiesława za rękę wprowadził go do izby. Kiedy Wiesław Halkę zobaczył rzucił się jej do nóg z okrzykiem: "O Boże, moja biedaczka!" i pochwycił zimną niestety już rękę. Chwilkę tak klęczał, aż się proboszcz do Halki zbliżył i obudził ją, mówiąc: "Patrzno, miła Halko, kto do ciebie przyszedł!"

Ciężko chora otwarła oczy, spojrzała dokoła siebie niby w śnie; a potem spoczęło jej oko na Wiesławie. Z radością drżeć zaczęła i ujęła go za rękę, zawoławszy słabem głosem: "Drogi Wiesławie, jesteś to ty tutaj przy mnie? A więc jeszcze raz mogę do ciebie przemówić: "Bądź zdrów i to szczerze, serdecznie... Tak, tak — bądź zdrów najdroższy..." Nie domówiwszy reszty przycisnęła rękę jego do serca i — skonała! Jej czysta z więzów ciała uwolniona dusza uleciała po ciężkich doświadczeniach ku niebieskiej krainie.

Nieprzeliczone, okiem nie przejrzane tłumy odprowadziły zwłoki powszechnie kochanej dziewczyny na ciche miejsce wiecznego spoczynku; a sędziwy proboszcz przemówił tak serdecznie i gorąco nad jej grobem, iż oczy wszystkich łzami się zaćmiły. Pokój cieniom biednej Halki: wiele danem jej będzie, albowiem wielce i wiernie miłowała!

---

Kilka jeszcze uwag na zakończenie naszej powieści. Ciotka Halki odziedziczyła z domostwem piękny młyn; a ponieważ nim

sama zarządzać nie umiała, poruczyła jego zarząd Wiesławowi, gdyż nad niego nie znała zdolniejszego i więcej jej zaufania godnego człowieka. Wiesław przyjął chętnie ofiarowane mu stanowisko; a pod jego kierownictwem młyn wójtowej stał się wkrótce jednym z największych w całym świecie. Mimo trosk i ciężkiej, sumiennej pracy nie chciał Wiesław słyszeć o żadnem uprzyjemnieniu sobie życia, o żadnem szczęściu; wszelkie swatania siebie do żeniaczki odprawiał z kwitkiem: aż do śmierci pozostał wiernym swej ukochanej Halce! Wiódł on życie człowieka prawego i dla tego cieszył się powszechnym szacunkiem u ludzi. Umarł on w późnej starości; ostatniem życzeniem jego było: połączenie się po śmierci z Halką. Grób Halki na wiejskim cmentarzu przyjął też w istocie i jego ciało: jeden i ten sam nagrobek przekazuje pamięć dwojga wiernych kochanków odradzającym się pokoleniom.

Zgubny jest zabobon — wiara, nadzieja i miłość to rdzeń i korzenie żywota; atoli najpiękniejszą z nich i najtrwalszą jest i będzie miłość!

KONIEC.

---

# KRAWIEC CZARNOKSIĘŻNIK.

## CIEKAWE OPOWIADANIE.

### I.

W południowych Niemczech leżała wioska otoczona pięknym wieńcem gór z których z łoskotem spadał bystry strumyczek, dzielący wioskę na dwie połowy. Na końcu wioski, na pochyłej spadzistości stał młyn o pięciu kamieniach, koło którego zawsze pełno było fur przywożących tu zboże do mielenia. Potok mały lecz obfity w wodę, dzielnie obracał młyńskie koła, wskutek czego każdy, zboże tu przywożący, prędko mógł się z mlewem załatwić; nic też dziwnego, że koło młyna zawsze było gwarno i ludno i pomocnicy jak też sam młynarz nigdy na brak roboty i zarobku uskarżać się nie mogli.

O kilkadziesiąt kroków od młyna, przylepiona rzec można jednym bokiem do stromej skały, stała maleńka chatka. Zbudował ją, a raczej skleił biedny wyrobnik i pomieścił w niej całą rodzinę, tj. żonę i dzieci, z których dwóch starszych synów dobrze już pomagało ojcu w zatrudnieniach młynarskich. Żona gospodarzyła w domu, a że była kobietą oszczędną i zapobiegliwą, przeto cała rodzina, dzięki niezmordowanej gorliwości i pracy ojca, żyła skromnie, lecz dostatnio i nigdy nie brakło tam kawałka powszedniego chleba. Nie zawitała też tam nigdy żadna choroba, żadna kłótnia nie psuła nigdy harmonii rodzinnej, łatwo też pojąć, że wszyscy byli weseli, spokojni i zadowoleni ze swego losu.

Pewnego dnia spostrzegła gospodyni, że czoło męża zmarszczyła ciężka jakaś troska, w obawie tedy, czy mąż czasem nie chory, radziła mu, by poszedł do miasta i lekarza zapytał o radę. Mąż ją jednak uspokoił i oświadczył wręcz, że jeżeli jest smutny i zamyślony, to nie wskutek jakiejś choroby, lecz przyczyną tego jest obawa o przyszłość małego jego synka imieniem Fryca.

— Przyszłość Fryca? — zapytała matka — ależ to jeszcze dziecko, niemowlę prawie.

— Właśnie dla tego, — odparł wyrobnik, — że jest taki mały i słaby. Z jego słabemi siłami trudno go będzie umieścić jako pomocnika w młynie, bo czyż on kiedy udźwignie worek z mąką lub siekierę? A

jakże będzie on w stanie zapracować na siebie? — A czyż to wszyscy ludzie muszą być rękodzielnikami? — ciągnęła dalej niepokonana niewiasta.

— Są przecież zajęcia, którym i słaby i mały podołać może. Nie bój się! Fryc ma głowę nie do pozłoty, a co ważniejsza ma zalety, które mu pewnie w świecie zaginąć nie dadzą.

Małżonkowie tak gorąco i z takim zajęciem omawiali przyszłość małego Fryca, że nie spostrzegli, iż ktoś się zbliżył do nich i już od chwili przysłuchiwał się ich wzajemnym wynurzeniom.

— Dzień dobry! — zawołał nagle ktoś z tyłu.

— Jak widzę, radzicie nad czemś moi kochani. O cóż wam chodzi? Powiedzcie mi otwarcie, co wam dolega, a może będę mogła dać wam dobrą radę.

— A to wy jesteście zacna sąsiadko! — zawołała gospodyni. — Owszem chętnie wam opowiemy o naszej trosce, która nas tak gnębi. Oto, jak wam wiadomo, obdarzył nas Pan Bóg synkiem, którego sami do chrztu trzymaliście i któremu darowaliście piękny srebrny naparstek. Pamiętacie, jak to mówiliście, że jesteście jego matką chrzestną! Otóż chłopczyna nie rośnie i taki jest słabowity, że ani myśleć, by kiedyś rzemiosłem chciał żyć w świecie. I oto teraz właśnie rozmawialiśmy z mężem o tem, jakie zajęcie obierze sobie Fryc, takie, któreby nie wymagało ani siły, ani wielkiego wzrostu.

— Nie łamcież sobie nad tem głowy — przerwała starowina. — Fryc ma przecież jeszcze mój chrzestny podarek?

— Naturalnie — odparła matka — on ten naparstek chowa i ceni jak świętość jaką. — Dobrze więc — rzekła staruszka. — Rzecz jasna, że on musi być krawcem. — Krawcem? — zapytał ojciec z niechęcią — a czyż udźwignie on nożyce lub żelazko. A gdy będzie musiał brać miarę człowiekowi wysokiego wzrostu, to co wtedy zrobi?

Na to odparła stara sąsiadka: — A wy co robicie, gdy chcecie dostać wisien z drzewa? Czyż możecie ich dosięgnąć bez drabiny? Prawda, że nie. Otóż tak samo będzie i Fryc robił. Przy braniu miary wlezie na stołek i rzecz skończona. — To mówiąc, chciała odejść w dalszą drogę, lecz zwracając się dodała jeszcze: — Krawiec zasługuje także na szacunek, tak jak każdy inny rękodzielnik jeżeli jest prawym, rzetelnym i uczciwym człowiekiem i może stanąć wyżej, jak myślicie. Ale musi być zawsze prawym, rzetelnym i uczciwym. Pamiętajcie o tych zaletach i starajcie się je Frycowi przyswoić.

To rzekłszy, odwróciła się i odeszła. — Co to za kobieta? — zapytał wyrobnik. — Zdaje mi się, że już raz ją widziałem. — Ej! — odparła żona — to stara nasza sąsiadka Walterowa. Niegdyś popełniła ona jakiś występek i za pokutę chodzi teraz jak żebraczka ubrana. Wiem zresztą, że gdzie tylko się zjawi, wszędzie ze sobą przynosi szczęście.

---

## II.

Mały Fryc tymczasem pasąc opodal w wąwozie owce, siedział również z zasępioną miną na kamieniu przy drodze i sparłszy główkę na dłoni zamyśliwał się głęboko. W tem z poza drzew ukazała się przygarbiona postać Walterowej, która ujrzawszy chorowitego malca, już z daleka zawołała. — Jak się masz Frycku? — On spojrzał na nią zdziwiony i odpowiedział:

— Ja Was wcale nie znam.

— Nic nie szkodzi, gdyż ty mi wcale obcy nie jesteś. Ale gdzie masz naparstek? Co? Zgubiłeś zapewnie!

— Nie — odparł chłopczyna — oto jest — i z temi słowy pokazał już z kieszeni mały, srebrny naparstek.

— To dobrze! Chowajże go starannie — rzekła dobrotliwa staruszka.

Potem dodała:

— Ale dla czegoś ty taki smutny? Co ci brakuje?

— Nie będę się krył przed Wami z tem, co mi dolega — odparł Fryc.

— Jestem mały i słaby i nie będę w stanie pomagać ojcu w jego zatrudnieniach młynarskich, tak jak moi bracia. Rodzice nie mogą mnie tak kochać jak ich, gdyż oni każdej niedzieli przynoszą sporą sumę pieniędzy do domu, a ja tylko zaledwie owce

popaść potrafię.

— Nie smuć się — pocieszała stara Walterowa chłopca, któremu łzy jak perły spływały po bladych policzkach. — Nie długo wszystko się zmieni. Ty jesteś już w wieku, gdzie czas zacząć się uczyć jakiegoś rzemiosła. Rzemiosło, to złoty interes! A wiesz ty, czego tobie uczyć się należy? Oto krawiectwa. Radzę ci, idź do krawca Ferkla i ucz się jego rzemiosła; bądź tylko zawsze prawym, rzetelnym i uczciwym, a o resztę się nie troszcz. Mam zresztą nadzieję, że podczas twojej wędrówki znowu się zobaczymy. Idźże teraz do domu i bądź dobrej myśli. — I skinąwszy przyjaźnie głową, poszła dalej. Zaledwie jednak uszła kilkadziesiąt kroków, gdy nagle upuściła coś na ziemię i odwróciwszy się, rzekła tak wyraźnie, że i Fryc te słowa usłyszał: — To dla ciebie. — Fryc pobiegł i podniósł nożyczki krawieckie nowo i lekkie. — Hej, staruszko! — wołał ile mu sił i głosu, starczyło — czekajcie, zgubiliście nożyczki! — Lecz napróżno. Staruszka gdzieś znikła i Fryc nie wiedział innej rady, tylko schować nożyczki do czasu, póki stara się kiedyś znowu we wsi nie zjawi. Wziął więc nożyczki do domu i ukrył w głowach swego łóżeczka.

Wieczorem, gdy się cała rodzina przy stole zebrała, rzekł ojciec do Fryca:

— Słuchaj Frycku, masz już lat czternaście, a więc czas już, byś się zaczął przysposabiać do jakiegoś rzemiosła, któreby ci przyszłość zapewniło. Powiedzno, do czego miałbyś największą ochotę?

— Ach, kochany ojczulku — odparł Fryc — oddaj mnie do Ferkla na naukę, gdyż muszę być koniecznie krawcem.

— Na to rzekł Ildefons.

— Co! u Ferkla chcesz się uczyć krawiectwa? No, tam się nic dobrego nie nauczysz. On przecież nie robi ani dla młynarza, ani dla żadnego porządnego człowieka, a mój nowy surdut tak mi spartolił, że go teraz wciągnąć nie mogę, bo zaraz pęka we wszystkich szwach.

Wtedy zaśmiał się mały Fryc i rzekł:

— Bo teraz właśnie najbardziej rośniesz, a żeś kazał sobie zrobić surdut obcisły i przylegający, przeto nic dziwnego, że teraz pękać i pruć się musi. Matka to samo ci mówiła, gdy krawiec brał miarę. Zresztą bylem się szyć nauczył, to już się reszty na wędrówce douczę, ej ta wędrówka najbardziej mnie raduje, gdyż tam za górami zupełnie musi być inaczej, jak u nas.

— Ty? na wędrówkę! — śmiał się brat starszy imieniem Hilderyk.

— Dalibóg chciałbym cię widzieć, jak będziesz maszerował z wielkiem żelazkiem, braciszku; ty wszędzie zrobisz furorę, a wioska nasza wsławi się posiadaniem tak wielkiego i sławnego męża.

— Pewnie, pewnie — potakiwał szyderczo Ildefons.

— Dajcie tylko spokój Fryckowi — wmięszała się matka.

— Taki mały już nieraz zawstydził wielkiego.

Wtedy bracia wcale nieprzyzwoicie śmiać i kpić poczęli z Fryca.

— Frycku — mówili — pamiętaj, że masz zawstydzić wielkiego.

I drwili z biednego chłopca tak niemiłosiernie, że ojciec widział się zmuszonym oddalić ich od stołu.

Fryc tymczasem pomodlił się, powiedział rodzicom dobranoc i położył się na spoczynek w tej błogiej nadziei, że jutro matka z nim pójdzie do majstra i on od jutra już zacznie się uczyć czegoś pożytecznego.

---

## III.

Majster Ferkel ucieszył się bardzo, gdy matka przyprowadziła Fryca; a ponieważ zażądał bardzo małego wynagrodzenia, kontrakt został zaraz zawarty i Fryc pozostał u krawca. Po odejściu matki krawiec wybrał kilka naparstków, by nowy uczeń mógł sobie wybrać z nich jeden. Fryc próbował wszystkie, lecz nie mógł sobie odpowiedniego dobrać, gdyż wszystkie były za małe.

— Ej, ja mam swój naparstek — rzekł Fryc, wyciągając z kieszeni darowany mu przez Walterową naparstek.

— A do kroćset tysięcy — zawołał zdziwiony majster — a ty zkąd wziąłeś srebrny naparstek?

— Matka mi go już dawno darowała — odparł Fryc. Gdy go włożył na palec, naparstek przylegał tak dobrze, jakby umyślnie dlań był zrobiony. Majster dał mu następnie dwa kawałki sukna i chciał go pouczyć, jak je ma zeszyć, lecz Fryc począł szyć tak prędko, że majster zawołał:

— Czekaj malcze! Jak zaczniesz szyć tak prędko, to ściegi nie będą równe.

— Wziąwszy jednak szycie w ręce, zdziwił się bardzo, gdyż szew był niezwykle równo i gładko poprowadzony.

I tak było zawsze. Każdego rodzaju i sposobu szycia uczył się Fryc na poczekaniu i ciekawa to była rzecz, że gdy włożył naparstek, to igła i nitka zdawała się nabierać rozumu i rzekłbyś, że igła szła i nitkę ciągnęła tam, gdzie było właśnie potrzeba. Wkrótce wyszywał Fryc dziurki od guzika lepiej, jak sam majster, a wszyscy, którzy sobie ubrania u Ferkla zamawiali, żądali koniecznie, by im Fryc dziurki wyszywał.

Nauka jego miała potrwać trzy lata. Zaledwie jednak skończył się pierwszy rok, rzekł Ferkel przy sposobności do rodziców Fryca:

— Wasz Fryc pojmuje wszystko nadzwyczaj prędko i każdą robotę wykonuje wzorowo; jeżeli to tak pójdzie i w drugim roku, to krzywdę bym wielką wyrządził chłopcu, gdybym go dłużej u siebie trzymał. Fryc pozna wkrótce cały krój sukien, jakie w naszej wsi powszechnie noszą, i wówczas nie pozostaje nic innego, jak tylko wysłać go na wędrówkę, by po obcych miastach douczył się tego, czego tu nauczyć się nie będzie mógł.

Gdy majster brał komuś miarę na ubranie, wołał zawsze Fryca, by się tenże mógł przypatrzeć, jak się bierze miara, lecz nigdy jeszcze nie powierzał mu samemu tej roboty, gdyż obawiał się, aby biedny uczeń, który wprawdzie pojmował szycie nadzwyczaj szybko, nie zepsuł mu czasem sukna i nie wyrządził mu w ten sposób szkody. Fryc już nieraz prosił go o to, lecz przezorny majster wynajdywał zawsze jakieś pozory i zwlekał od tygodnia do tygodnia.

Zdarzyło się raz przy końcu drugiego roku pobytu Fryca u swego majstra, że przyszedł do warsztatu młynarz i kazał sobie wziąść miarę na surdut.

— Oto dostałem za tanie pieniądze resztkę sukna — mówił on — lecz krawiec miejski chce jeszcze pół łokcia więcej, gdyż jak twierdzi, z tego nie będzie w stanie zrobić mi dobrego wygodnego surduta. Tymczasem sukna takiego samego nigdzie na nieszczęście dostać nie mogę. Gdym więc był u kupca i opowiadał mu o moim kłopocie, przyszła tam także jakaś stara, obdarta niewiasta, która wmięszawszy się do rozmowy, tak powiedziała:

— Panie młynarzu! Idźcie z tem tylko do waszego majstra Ferkla. On ma ucznia, który wam pewnie dobry surdut sporządzi, a jest zręczniejszy i poczciwszy, jak miejski krawiec.

— Ja tam wprawdzie na takie gadanie nie zwracam nigdy uwagi, ale raz nie zawadzi spróbować; zresztą i tak pieniądze za materyą przepadły, a więc przynoszę wam sukno i jeżeli możecie co z niego zrobić, to zróbcie. — I rzekłszy to, rzucił pakiet na stół.

— A wieleż macie łokci tego sukna? — zapytał Ferkel.

— Nie wiem, zmierzcie sami, — odpowiedział młynarz. Krawiec wziął tedy miarę i począł rozmierzać na wszystkie strony, lecz pokazało się, że materyi było w istocie za mało. W końcu rzekł:

— Szkoda tego pięknego sukna; muszę ja się nad tem zastanowić. Zrobię co mogę, choć nie ręczę za to, czy surdut będzie wygodny. Jesteś pan dobrej tuszy, a chciałbyś mieć surdut wygodny. Rzeczywiście przydałoby się jeszcze z pół łokcia.

— A więc oddajcie mi sukno — odparł młynarz — przecież znajdę jeszcze krawca, który mi i z tego sukna surdut zrobić potrafi — dodał niechętnie.

Nasz majster Ferkel nie myślał wcale wypuścić młynarza, gdyż wiedział, że miałby u niego dobry zarobek. Dodał więc prędko:

— No, no, ja przecież nic stanowczego nie powiedziałem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W. BOGUSŁAWSKI.

# CUD

CZYLI

# KRAKOWIACY I GÓRALE

W TRZECH ODSŁONACH.

(Ciąg dalszy).

**Basia.**

Ale jak łatwom na dół s pod dachu skocyła,
Ale w górę nie mozna, a dzwi odemłyna
Zamknęła wej macocha, by snać starowina
Ociec nie wysedł patsyć, kędy ona chodzi,
Bo jak wejcie uwazam, ze ona coś godzi
Na jakiegoś jamanta, s którym się wej wdaje,
A musi jus mieć kogoś, bo raniutko wstaje,
I biega za stodoły.

**Jonek** *(do Stacha cicho).*

Ciebie pewnie suka.

**Stach** *(do Jonka).*

Nie mówze nic.

*(Do Basi).*

Idź Basiu, bo cię matka suka,
Najlepiej idź do karcmy pomiędzy dziewcyny,
Tańcują tam, bo Pawła dzisiaj zaślubiny,
Mają tu psyjść i ojca prosić na wesele
Ty se tes potańcujes z niemi — potem śmiele
Psyjdzies, pomiędzy gośćmi nie będzie cię łajać.

**Basia.**

Bywaj zdrów:

*(Odchodzi).*

**Stach.**

Ty tes Jonku psestań psecie bajać,
Gdyby dziewucha zwęchła te matki zaloty,
Miałzebym potem w domu cartowskie kłopoty;
Idź za nią, wsak ty druzba, ty mas tańce wodzić.

**Jonek.**

Pochlebiaj matce Stachu, bo ci moze skodzić,
Nie zawadzi dla zysku osukać nawjasem,
Wsak i panowie zonki tes zdradzają casem;
A proc tego s psybytku, wsak głowa nie boli,
Potrafis ty i matce i córce dowoli.

**Stach.**

Nie baj, idź prędzej.

**Jonek.**

Idę. Nim staną górale
Ja tu s całą caredą w tańcu się psywalę,
Wezmiewa sobie sksypki i kozę maćkową.

---

**SPRAWA III.**

**Stach** *sam, potem* **Dorota**

**Stach.**

A ja w moje obroty wezmę tu Bartkową,
Jezeli się da wzrusyć, to o starca fraski,
Jak go wej roskomosą weselne igraski,
Wtencas mu padnę do nóg i wsystko opowiem,
Moze się da nakłonić.

**Dorota** *(biegnie i wiesza mu się na szyi).*

Ach Stasieńku miły!
Tyś moją dusą, tyś jest mojem zdrowiem!
Jus cię od świtu sukam, pewnie cię zwabiły
Dziewuchy wej do karcmy — a ja bes cie konam!

**Stach.**

Ale pani młynarko, na cós to nam?

Te prózne swasy;
Wacpani mąz stary,
Jakby się wejcie o tem dowiedział, toby to
Dopiero biedy było.

**Dorota.**

Na cós się z kobietą
Młodą zenił, kiej stary, mógł mnie wej nie zwodzić,
Kiej w nicem młodej zonie nie umie dogodzić.
Zawse to chore, ksywe,
A jesce tak podejzliwe,
Chciałby mnie zbyć głaskaniem, a to nic nie nada:
On mnie osukał, ja tes osukuje dziada.

**ŚPIEWKA.**

Zadko to bywa na świecie,
By się małzeństwo kochało,
Chocias w młodości są kwiecie,
Chocias się dobze dobrało.

Tym gozej, gdy zona zwawa,
A mąz, ledwie ze się chwieje,
Prózno się praca zadawa,
Jak lód psy słońcu topnieje.

Stachu, tyś zranił mą dusę,
Ja ci prawdę wyznać musę,
Ze kiej mam starca psy sobie,
Wtencas ja myślę o tobie.

O bodajbym cię nie była znała!
Nie byłabym cię kochała,
Ty mnie tak dręcys niebogę,
Ze bes cię wytrwać nie mogę.

Więc się nademną uzałuj,
Uzyc mi w mojej potsebie.
Casem mnie tylko pocałuj,
Wsyćko ucynię dla ciebie.

**Stach.**

Pani Bartłomiejowa, gdy mi tak spsyjacie,
Podchlebiam sobie wejcie, ze mi Baśkę dacie,
Basia mnie bardzo kocha, i ja ją wzajemnie.

**Dorota.**

Baśki ci się zachciało zdrajco, a śmies ze mnie
Takie zecy wbrew bajać, toćbym miała
Patsyć jakby się Baśka do cię umizgała?

**Stach.**

A więc tes, kiedy inną wybierę za zonę,
Więcej mnie nie ujzycie, bo w daleką stronę
Pseniesę się, to i tak wam nic nie pomoze.

**Dorota** *(na stronie).*

Prawda i to.

*(Głośno).*

Słuchajze, toć jesce być moze,
Zebym ci Baśkę dała, ale mi obiecać
Musis, ze mi pozwolis sobie się zalecać,
Wsak ja młoda i zwawa.

**Stach.**

Nie, Pani Bartkowa,
Niech nas Pan Bóg od takiej pokusy zachowa!
Nie słysycies to jak nas ksiądz o to strofuje?

**Dorota.**

O ba, niech sobie tam ksiądz zdrowiuchno zartuje,
Pamiętam ja, jak do mnie kopercaki palił,
Kiedym wej chusty prała, mało mnie nie zwalił
W Wisłę, a zem go chciała kijonką psemiezyć;
Nie ze wsyćkiem to pono tseba księdzu wiezyć.

**Stach.**

Ale się ludzie gorsą i śmieją się s tego.

**Dorota.**

Jus my nie zgorsem więcej świata zepsutego.
Pamiętam ci ja w mieście panią malowaną,
Cośmy to u niej byli, s kasą tatarcaną;
Mąz koło kuchni chodził, a ona w pokoju
Lezała na kanapie, w cieniusieńkim stroju,
Ze ją ledwo nie nago widzieć mozna było.
Dwóch młodych obficerów psy niej się kręciło,
Takze jakiś kanonik i patron nadęty,
Ten poprawiał pońcosek, ten ściskał za pięty,
Azem parschła ze śmiechu.

**Stach.**

Toć się panom godzi,
Bo takim, i samo złe, na dobre wychodzi.
Ale my, zyć powinni, jak poćciwość każe,
Ja nigdy moje zony zdradą nie obraze.

(Ciąg dalszy nastąpi.)